

Opera we Wrocławiu

„Antygona” na gruzach współczesnego świata

Środek sceny, jak w antycznym teatrze, pozostaje pustą przestrzenią, tutaj rezebra się dramat. Nad głowami bohaterów zwisają potężne belki i potrzaskane betonowe płyty ze sterzącymi prętami zbrojeniowymi. Dymiące resztki potężnego budynku, potrzaskane lustra dopełniają obrazu zgłiszcz i ruin, w jakich rozegrał Marek Weiss-Grzesiński swoją inscenizację „Antygony”, najnowszej opery Zbigniewa Rudzińskiego.

Kompozytor, pisząc libretto, pozostaje w zasadzie wierny dramatowi Sofoklesa, zmienia jednak jego akcenty i wymowę. Podobnie zresztą postąpił reżyser, przenosząc akcję w bliżej niesprecyzowaną współczesność. Wy-elegantowanemu dworowi Kreona przeciwstawił szary świat bezwolnego ludu. Antygonę postawił na uboczu obu światów. Główna bohaterka, przestrzegając odwiecznych boskich praw, staje się osobą odrzuconą i samotną. Nikt poza nią nie ma odwagi przeciwstawić się tyranii władzy i walczyć w imię własnych przekonań. Pokonana sięga po narkotyki, które wywołują

wizję mściwych Erynii i Kasandry. Ten ostatni z reżyserskich zabiegów najmniej mi się podoba. Nic nie usprawiedliwia sięgania po narkotyki. Zresztą postać Antygony jest tak skonstruowana, że widz, od pierwszego jej pojawienia się na scenie, wie, że czeka ją tragiczny koniec. Zupełnie inaczej jest z postacią Kreona, przekonanego o słuszności swoich sądów i postępowania. Dlatego dopiero w chwili kiedy świat jego wartości wali się w gruzy, przychodzi świadomość popełnionych błędów: „Noc przyjdzie i światłość zgaśnie, potem szron ranny pocznie topnieć w słońcu. Chwila każda nową nieśczędnie udrękę, ten zaś co z cierpienia się zwolni, nie narodził się jeszcze” – słyszy umierający w samotności Kreon. I tutaj mam kolejną wątpliwość. Dlaczego prorok Terezjasz, wymawiający to zdanie, pojawia się tutaj jako dziecko. W ustach starca (jak u Sofoklesa) te słowa nabierają szczególnej wartości i są dopełnieniem przesłania całego dramatu. W ustach dziecka brzmią zupełnie bezbarwnie i nieprzekonywająco.

Trzecią wątpliwością są Erynii i obląkana Kasandra, których dwukrotne pojawienie się nie bardzo pasowało do dramatu i rozbijało jego spójność.

Głównymi postaciami dramatu w dziele Rudzińskiego są Antygona i Kreon, pozostałe stanowią dla nich jedynie tło. Właśnie te dwie partie zyskały we Wrocławiu znakomitych wykonawców. Antygonę pięknie zaśpiewała i z całym przekonaniem zagrała Dorota Dutkowska. Jej kreacja mieniła się pełną paletą emocji. Od tkliwości, kiedy symbolicznie przygotowuje do pogrzebu zwłoki Polinejesy, przez bunt kiedy Ismena odmawia jej swojej pomocy, do pełnych dra-pieżnego dramatyzmu chwil w rozmowie z Kreonem. Równie wiele uznania należy się Wiktorowi Gorelikowowi za znakomitego Kreona, który z dumnego władcy staje się w finale złamanym nieszczęściem człowiekiem. Jego potężnie brzmiący bas wydaje się być idealny do tej partii, której istotą są rozbudowane monologi. Pozostałe role z powodzeniem śpiewali Ewa Czer-

mak – Ismena, Agnieszka Rehlis – Eurydyka, i Andrzej Kalinin – Hajmon.

Konstrukcyjnie podzielone na dwa akty dzieło utrzymuje się w konwencji tradycyjnej opery: aria – monolog, duet, scena z chórem, wreszcie kwartet w finale pierwszego aktu. Emocjonalnie zróżnicowana muzyka Zbigniewa Rudzińskiego utrzymuje przez cały czas odpowiednie napięcie dramatyczne. Wątpliwości budzą wprowadzone do partytury dosłowne cytaty z dzieł „Don Giovanniego” W.A. Mozarta i Suty J.S. Bacha. Szczególnie podobał mi się monolog Eurydyki pięknie zaśpiewany a cappella przez Agnieszka Rehlis. Nad stroną muzyczną czuwał Tomasz Szreder, który prowadził premierowe przedstawienie z właściwą sobie pasją, dynamiką i precyzją, konsekwentnie prowadząc narastający w muzyce dramatyzm.

Adam Czopek

Zbigniew Rudziński „Antygona”, kier. muz. Tomasz Szreder, reż. Marek Weiss-Grzesiński, scen. Małgorzata Słoniowska, przyg. chóru Małgorzata Orawska, premiery 7 i 8 lutego 2003 r.